

Andrzej S. Kamiński

## WSTĘP

*Nie ma wspólnej miary tam,  
gdzie nie tak samo człowiek  
pojmuje swoje miejsce w  
świecie.*

Czesław Miłosz, *Rodzenna Europa*

Materiały z konferencji p.t. „Geopolityczne miejsce Białorusi w Europie i świecie” to zbiór wypowiedzi działaczy społeczno-politycznych i przedstawicieli współczesnej kultury białoruskiej, którzy przeprowadzili dwudniową debatę „okrągłych stołów”, a także następującą po nich dyskusję. Pozwoli to czytelnikom, studentom i pracownikom akademickim oraz urzędnikom ministerstw odpowiedzialnych za kontakty z Białorusią zapoznać się z dość szeroką interpretacją współczesnej sytuacji politycznej, gospodarczej, społecznej i kulturalnej w kraju zdominowanym przez Aleksandra Łukaszenkę. Co do tego, czy Łukaszenko jest bezwolną marionetką w rękach Putina czy też samodzielnym graczem, nie ma zgody wśród politologów, ale jego kontrola nad krajem nie jest kwestionowana.

Czytelnicy bez trudu zauważą, że odmienne interpretacje dotyczące sytuacji na Białorusi nie przebiegały wedle linii krajowcy – zagranica, lecz wynikały z odmiennej oceny świadomości społeczeństwa białoruskiego i odmiennego spojrzenia na stopień efektywności działania systemu przymusu i skuteczności służb specjalnych. Zwracam na to uwagę, ponieważ wskazuje to na brak skutecznej „żelaznej kurtyny” pomiędzy inteligencją białoruską a resztą świata.

Fakt, że wszyscy białoruscy uczestnicy konferencji, w mniejszym czy większym stopniu krytyczni wobec polityki swego prezydenta, mogli zdecydować się na przyjazd do Warszawy wprowadza nas dodatkowo w głęb

białoruskich meandrów, których wyjaśnianiu były poświęcone te listopadowe dni 2006 r. Z wypowiedzi wielu uczestników wyłaniał się obraz państwa, w którym władza wykonawcza skupiona w rękach autokratycznego prezydenta oraz wszechmoc służb specjalnych przydusza, nęka i marginalizuje wszelką (a nie tylko demokratyczną czy narodową) opozycję, która w odróżnieniu od swych poprzedniczek w Polsce czy Słowacji nie umie (dotychczas) znaleźć uniwersalnych haseł i symboli predystynujących ją do roli duchowego przywódcy narodu. Nic więc dziwnego, że gorzka ironia i sarkazm tak często odzywały się w dyskusjach, pokrywając głębokie poczucie bezradności.

Materiały konferencji stają się doskonałym źródłem pozwalającym czytelnikom zapoznać się z obecnym stanem intelektualnej przenikliwości, analitycznej sprawności, poczuciem odpowiedzialności moralnej i wizjonerstwem politycznym współczesnej białoruskiej opozycyjnie nastawionej inteligencji. Nie myślę, że sąd wydany z odległości dziesięciu lat będzie tak ostry jak natychmiastowe internetowe dyskusje, ale na pewno skupi się nad tym, czego w wypowiedziach uczestników zabrakło. Nie chodzi tu o pominięte tematy, lecz o punkty odniesienia, o których zapomniano lub je zminimalizowano, rzucając tym samym dość niezwykle światło na stan dzisiejszej białoruskiej tożsamości.

Pisząc tuż przed oddaniem niniejszego tomu do druku pragnę podzielić się z czytelnikami dwiema uwagami. Jedna dotyczy białoruskiej przeszłości, a druga jej przyszłości, obie zaś są ściśle związane z poczuciem tożsamości przeżywającej obecnie poważny kryzys. Przyczyn na pewno jest kilka, lecz najpoważniejsza tkwi, moim zdaniem, w utracie własnej historii. Wygasanie znajomości ojczywej historii jest posunięte tak daleko, że białoruskie dzieci z siódmej klasy za swych narodowych bohaterów uważają oprócz Janka Kupały i Franciszka Skoryny – Katarzynę Wielką (sic!), Suworowa i mordcę bazylianów połockich – Piotra I (stan wedle ankiety z 1993/1994 r.). Natomiast wśród największych zbrodniarzy XX w. wymieniają Hitlera i Gorbaczowa. Przystępstwem tego ostatniego miało być doprowadzenie do upadku Związku Sowieckiego. Nazwisko Stalina, który liczbą swych ofiar kilkakrotnie przewyższa Hitlera, pojawiało się tylko sporadycznie. W takiej sytuacji brak częstych odniesień do białoruskiej historii w trakcie naszej konferencji miał dość bolesną wymowę. Oczywiście, można to było zmienić, wprowadzając jeszcze dwie, trzy wypowiedzi o tematyce ściśle historycznej, mającej ułatwić zrozumienie współczesności, ale rzecz nie

w liczbie zaproszonych historyków, lecz niedostatku historycznej świadomości w wypowiedziach politologów, ekonomistów i socjologów.

Być może krzywdzę miłych gości naszego Instytutu i Wyższej Szkoły Handlu i Prawa im. Ryszarda Łazarskiego, ale Barbara Skinner (profesor z Indiana University) w czasie dyskusji zwróciła uwagę zebranych właśnie na ten brak odwoływania się do przeszłości przy analizie współczesności i stawianiu przyszłościowych prognoz. Uwaga ta nie wywołała żadnego oddźwięku. Powstaje więc wrażenie, że mimo wysiłku grupy historyków, takich jak Hienadz Sahanowicz, Andrej Katlarczuk, Aleś Kraucevic, rozpoczęta przez nich wojna o ojczystą historię nie jest postrzegana jako warunek sine qua non w walce przeciwko zakotwiczonemu w Mińsku skansenowi sowietyzmu.

Dla większości białoruskich sąsiadów (jak i większości Europejczyków) historia stanowi skarbnicę argumentów mających uzasadniać ich współczesne zamysły polityczne. Wpisuje ich w sprawdzone wielowiekowym doświadczeniem *właściwe* sposoby postępowania, dodaje powagi, uzasadnia podejmowanie olbrzymiego ryzyka, pozwala w imię pradziadów przeklinać lub udzielać absencji. Oczywiście, „na co dzień” politycy wolą słuchać politologów, ekonomistów, socjologów czy badaczy opinii publicznej niż historyków, gdyż to upraszcza zasób danych, wedle których podejmują decyzje. Jednakże żadna z „wielkich” debat politycznych nigdy nie obywa się bez odwołania się do „głosu przodków”. Tegoż to głosu, a nawet co więcej, zrozumienia jego powagi, nie brakowało żadnemu poważnemu politycznemu ugrupowaniu, żadnej wpływowej intelektualnej koterii.

W Rosji spór o ocenę reform Piotra I podzielił inteligencję na dwa zwalczające się ugrupowania, propagujące w ciągu XIX, a częściowo XX w. odmienne programy polityczne i społeczne. Józef Stalin w popularyzowanych własnymi rozkazami postaciach Iwana Groźnego i Piotra I szukał „historycznego uzasadnienia” swej roli dziejowej. Putin, rozbudowując autokratyczny aparat władzy, chce wznosić pomniki Dzierżyńskiemu, a nie Emilianowi Pugaczowowi, a jego duma z historii własnego narodu nie ustępuje w sile i ideologicznym wyrazie dumie Karamazina.

W Polsce w czasie przygotowań obchodów tysiąclecia chrztu/państwa Gomułka przegrał walkę z kardynałem Wyszyńskim o „klucz zrozumienia” ojczystej historii, a „Solidarność” w swym historycznym micie wpisywała się w dzieje bohaterskiej konfederacji barskiej, śpiewając jej religijne pieśni i przedrukowując jej patriotyczne wiersze. Do dzisiaj zwolennicy

nadrzędności władzy wykonawczej przestrzegają przed tradycjami rozbuhannej samowoli społecznej (szlacheckiej), a ich przeciwnicy przypominają, że współczesne podstawowe zasady demokracji i tolerancji zostały zbudowane już w XVI w. na ziemiach polskich, litewskich, białoruskich i ukraińskich. Natomiast u Węgrów, wprost bogobojny szacunek dla Korony św. Stefana ma przecież „motywować” zasadność ich polityki wobec Słowian i Rumunów. Można by tę listę kontynuować, przypominając o znaczeniu bohaterów 1848 r. w gorących dniach poprzedzających węgierskie powstanie 1956 r. Można przypomnieć o wciąż najistotniejszym dla Serbów znaczeniu bitwy na Kosowym Polu czy Husie i Hradczańskiej defenestracji w 1618 r. dla Czechów. Nie ma co jednak mnożyć dalszych przykładów, by przekonać czytelnika, że historia w rękach współczesnych ma uzasadniać ich wybory polityczne. W tej sytuacji starania o kontrolę lub interpretacyjną dominację (szczególnie w podręcznikach szkolnych, radiu i telewizji) zwykle towarzyszą walce o władzę. Można załamywać ręce nad tym interesownym naruszaniem prawdy historycznej, można wygłaszać peany na cześć historycznej prawdy i obiektywizmu, lecz nie można zaprzeczać znaczeniu świadomości historycznej w życiu jakiegokolwiek istniejącego narodu.

Wszyscy wiemy, że zwycięzcy (np. imperia) przyjmują na siebie trud pisania historii podbitych przez siebie narodów. Często ta imperialna wizja nabiera powszechnie akceptowanej „naukowej” patyny. Do dzisiaj trudno historykom podbitych narodów byłego rosyjskiego imperium (i Związku Sowieckiego) wprowadzić do światowej nauki swą własną, antyimperialną wizję ojczystej historii. Tą odwieczną walką o historię i jej interpretację jest zarówno walka wewnętrzna, jak i walka o suwerenność lub przynajmniej przetrwanie. Można w tej walce utracić język, ale mimo to przetrwać, tak jak przetrwali Irlandczycy, ale pamiętajmy, że oni nie wprowadzali angielskich bohaterów do swego narodowego panteonu. Oczywiście, w momencie gdy rozpoczynamy myśleć samodzielnie i przystępujemy do porządkowania nagromadzonych w nas stereotypów, dokonujemy też krytycznej rewizji wielu narodowych mitów. Te, które jednak przetrwają, wiążą nas swym uniwersalizmem z całym światem, a ojczystym kolorytem – z cieniami przodków. Podjęcie więc walki o pamięć rodzimej historii i kultury wydaje się jednym z najważniejszych postulatów stojących przed zwolennikami każdej (nie tylko białoruskiej) samorządnej demokracji oraz jednostkowej i narodowej suwerenności.

Obecnie duża część Białorusinów, pomimo niechęci do NATO, chciałaby przyłączyć się do Unii Europejskiej. Nie wiem, ilu zwolenników łączenia

się z Zachodem zdaje sobie sprawę z tego, że dla ich kraju nie jest to „wyprawa” w nieznaną, lecz powrót do cywilizacji, w której ich przodkowie uczestniczyli przez ponad 300 lat.

Wspomnijmy tu, że ówczesni białoruscy Europejczycy to niekoniecznie uczestniczący w życiu państwowym i zajmujący dostojne miejsca w Senacie, izbie poselskiej i ministerialnych urzędach Chreptowicze, Sapiehowie, Ogińscy, Pocijewie, Pacowie, Bilewicze czy Tyszkiewiczze, lecz liczni duchowni prawosławnego i unickiego Kościoła, ludzie tacy jak Meleti Smotrycki, Semeon Połocki, Hipacy Pocij, Jozef Welamin Rucki, Antoni Sielawa, Jakub Susza, Rafael Korsak i wielu innych, którzy, niemniej niż Piotr Mohiła, należeli do dwóch, jeśli nie trzech europejskich kręgów kulturowych. Wszyscy swobodnie w mowie i piśmie, oprócz własnego nadzwyczaj bogatego języka, posługiwali się także uniwersalną łaciną, polskim i nierzadko greckim. Ich dzieła i obfita korespondencja do dzisiaj zadziwia intelektualnym poziomem, oryginalnością myśli, wspaniałym ciętym dowcipem i świetną znajomością świata i ludzkiej natury. Wielu z nich czuło się „jak w domu” zarówno w Rzymie, świętej górze Athos, jak i stołecznym Wilnie czy przysłowiowych sapieżyńskich Smorgoniach. Nie ich to wina, że dla większości swoich dzisiejszych potomków są dużo mniej znani od „oficjalnie” uznanych autorów „Wschodu i Zachodu”.

Europejczykami byli także liczni pedagodzy wielu białoruskich jezuitckich kolegiów lub, jak chociażby Bazyli Rudomycz, uczonymi Akademii Zamoyskiej. Ten ostatni, o ile mi wiadomo, aż do dzisiaj nie był tłumaczony na język białoruski, a przecież jego olbrzymi, nadzwyczaj ciekawy, miejscami wprost „pypesowski” pamiętnik był pisany w zależności od humoru Jego Magnificencji Rektora Akademii Zamoyskiej w trzech językach (łacina, starobiałoruski i polski). Sprawdzenie, jakie tematy, jakie emocje czy też pasje zmieniały język pamiętnikarza mogłoby nam odkryć wiele nieznanych kart z dziejów białoruskiej siedemnastowiecznej świadomości.

Europejczykami umięgającymi bronić swych praw ludzkich i samorządowych byli mieszczanie wielkich i małych miast Białorusi. A co jeszcze ciekawsze, europejskie poczucie ludzkich praw i godności istniało nie tylko wśród ukraińskiego kozactwa, lecz wśród białoruskich unickich chłopów, o czym może przekonać się każdy czytelnik zamieszczonego w tym tomie artykułu wspomianej Barbary Skinner. Oczywiście, można się spierać, do jakiego stopnia przytoczony przez nią materiał oddaje stan świadomości duchowieństwa, a w jakim stopniu przenikał on „pod strzechy”, ale nie

można negować faktu, że Białoruś tamtych czasów znajdowała się, własnym wysiłkiem, w przestrzeni obywatelskiej. Wprost imponująca jest obywatelska świadomość mieszczan białoruskich, ich poszanowanie i wiara w skuteczność prawa, przywiązanie do mocno bronionych samorządów miejskich, a także ich olbrzymia religijna tolerancja. Nie mogę w tym miejscu powstrzymać się od potwierdzenia swych opinii głosem siedemnastowiecznych mieszczan Mohylewa, Orszy, Witebska, Kryczewa, wydrukowanych ponad sto lat temu w carskim St. Petersburgu, w źródłowym wydawnictwie *Акты Относительно к Исторii Жунои и Западнои Росии собранныи и изданныи Археографическеиу Комиссией*, v.14 (dopolnienie k v.3) St. Petersburg 1889. Wykorzystany tu tom 14 nosi tytuł: *Prisojedenie Bielorusii 1654–1655*:

Zacznijmy od kilku słów wyjaśnienia. W 1654 r., po przyjęciu Ukrainy Bohdana Chmielnickiego w carskie poddaństwo, ojciec Piotra Wielkiego, Aleksiej Michajłowicz, rusza do walki o Wielkie Księstwo Litewskie i porty bałtyckie. Swojemu militarnemu podbojowi nadaje charakter religijnej krucjaty, mającej przynieść wyzwolenie cierpiącym niewolę egipską prawosławnym braciom, zniszczenie unii, kasację publicznego kultu katolickiego i ewangelickiego, śmierć, niewolę lub wygnanie Żydom. Zainteresowanych czytelników odsyłam tu do znanej książki Hienadzia Sahanowicza (*Niewiadamaja Wajna*), a sam ograniczam się do kilku podstawowych faktów. Car wezwał uniwersałami, a także osobistymi listami, biskupów prawosławnych i prawosławną szlachtę oraz mieszczaństwo do wspomagania jego wojsk w wojnie z wrogami prawosławia, czyli pogańskimi heretykami lachskiej wiary. Wzywał też przedstawicieli wszystkich biskupstw, miast i województw do przybywania do jego wojennej kwatery dla złożenia przysięgi wierności. Carskie wojska obległy Smoleńsk, a potężne moskiewskie zagony, wspomagane przez kozaków Chmielnickiego, ruszyły zdobywać miasta Białorusi. Do wszystkich miast i miasteczek wysyłano spod Smoleńska emisariuszy mających przekonać prawosławnych mieszczan do otwarcia bram. Nie szło to jednak łatwo. Nawet tam, gdzie po dłuższej czy krótszej obronie bramy zostały otwarte, to wszędzie, nawet w najbardziej z nich wszystkich uległym Mohylewie, mieszczaństwo nadzwyczaj stanowczo domagają się utrzymania swej dotychczasowej sytuacji prawnej, a bramy otwierają dopiero po otrzymaniu zapewnień przyjęcia ich postulatów. W sposób oczywisty boją się losu „tjałej” ludności miast carskich, boją się samowoli urzędników i przedstawicieli carskiej władzy. Chcą utrzymania tego kształtu życia, z którego chce ich „wyzwolić” prawo-

sławny car. Domagają się utrzymania pochodzącego z wyborów samorządu, utrzymania miejskiego sądu, a co więcej zachowania praw ludzi innej religii lub przynajmniej gwarancji ich bezpiecznego odejścia na Litwę lub do Polski. Proszą też powszechnie o pozwolenie ubierania się po swojemu (a nie po moskiewsku). Ich postulaty z miasta do miasta brzmią bardzo podobnie. Czasem proszą – przed podjęciem decyzji poddania – o pozwolenie wysłania posłów do Smoleńska i innych wciąż walczących miast dla wspólnego podjęcia decyzji. Czasem obiecują się poddać tylko wspólnie z innymi miastami.

Jak więc widzimy, nie ma tu entuzjazmu wobec nieproszonego „wyzwolicieľa”. Zresztą sami posłuchajmy ich głosów: „Bijemy czołem Waszemu Carskiemu Wielicestwu, aby prawa i przywileje miastu Mohylewu nadane pozostawały w całości nienaruszone, zgodnie z ogłoszonym nam przyrzeczeniem Carskiego Wielicestwa oraz aby wszyscy mieszcianie mieszkający w Mohylewie wedle tych praw i przywilejów byli nieodmiennie sądeni jednym sądem wedle prawa magdeburskiego przez corocznie wybieranych przez wszystkich burmistrza, rajców, ławników i wójta. Jeśliby komuś wyrok się nie spodobał, to nie wolno mu się udać do żadnego innego sądu jak tylko do samego tronu Waszego Carskowo Wielicestwa i to tylko w sprawach wielkich” (s. 260). „I aby wszyscy mieszcianie, żyjący w mieście Kryczewie wedle dawnych praw i przywilejów przez burmistrzów, rajców, ławników a także wójta, którzy mają być wspólnie przez wszystkich wybrani spośród mieszczan w ramach jednego niepodzielnego sądu mają być sądeni wedle prawa magdeburskiego. A jeśli komuś się wyrok nie spodoba, to do nikogo innego nie wolno mu się odwoływać jak tylko do tronu Waszego Carskiego Wielicestwa” (s. 413). Co ciekawe, pisząc do cara, Kryczewianie biją czołem „Waszemu Carskiemu Wielicestwu, aby utrzymał dla nas mieszczan dawne przywileje i wolności nadane im przez sławnej pamięci królów polskich” (s. 413). Kryczewianie, jak i inne miasta nie zapominali także w godzinie największego zagrożenia wstawiać się za swoimi współobywatelami Żydami. „Bijemy czołem Waszemu Carskiemu Wielicestwu za podstarościm kryczewskim, aby w zdrowiu z całym swym dobytkiem i Żydami, którzy w Kryczewie są, był wyprowadzony do Litwy albo wedle łaski Waszego Carskiego Wielicestwa, aby im pozwolono nadal żyć w Kryczewie” (s. 416). Podobną prośbę o wypuszczenie podstarościego z Żydami złożyli też mieszcianie mohylewscy, o co później odbyło się komisyjne śledztwo (s. 370–380). Natomiast przedstawiciele Witebszczyzny

wyprowadzenie Żydów i szlachty pod wojskową ochroną stawiali jako warunek zaprzestania walki i poddania się carowi (s. 292). Na zakończenie dodajmy, że Mohylanie, podobnie do innych miast, bili czołem Carskiemu Wieliczestwu, „aby mieszczenie Mohylewscy mogli się ubierać wedle dawnego swego obyczaju” (s. 261).

Postulaty te były tak powszechne, tak do siebie podobne, że trudno nie zauważyć, że właśnie tam pod Smoleńskiem, Kryczewem, Witebskiem, Orszą, Mścislawiem czy Starym Bychowem dochodzi do zderzenia się świata pojęć, odmienności obyczaju oraz struktur społecznych i prawnych Wschodu i cywilizacji, którą dzisiaj nazywamy zachodnią, a która ówczesnie, już od XVI w. zdomowała się nad Dnieprem. Rosyjski car, rosyjskie prawa i zwyczaje były tu obce i pomimo prawosławia, niechciane. Białorusi przed armią Aleksieja Michajłowicza bronili głównie ci, których rosyjskie ówczesne, a tu przypomniane źródła nazywają, w odróżnieniu od Lachów i Litwinów, Belorusy.

Wygłaszając w 1976 r. w Jerozolimie doroczny odczyt imienia Dinura, przytoczyłem zachowanie się mieszczan i ogólnie ludności białoruskiej, wobec Żydów w okresie moskiewskiej agresji. Odczyt wywołał zdziwienie (występujące zawsze tam, gdy ma miejsce zakwestionowanie stereotypów, podważonych autorytetem, w tym przypadku Dubnowa). A przecież ten moment z dziejów Białorusi nie zasługuje na zapomnienie i winien oprócz wielu innych, znaleźć się na kartach książki poświęconej europejskiej historii społeczeństw obywatelskich. Historii tak dziś Europie potrzebnej dla wzbogacenia dość ubogiej w tradycję obywatelstwa XVII-wiecznej Francji czy Hiszpanii.

Pod koniec XVIII w. granice europejskiej cywilizacji, do tej pory chronione prawem magdeburским, statutami i konstytucjami, a także samorządem miejskim, powiatowym i parlamentem przesunęły się na Zachód. Imperialne władze zniszczyły obywatelskie społeczeństwo. Zachodni Europejczycy, a nawet Białorusini zaczęli w ciągu XIX w. zapominać, że kiedyś, dzięki prawom magdeburским, samorządom powiatowym, Statutom Litewskim i Trybunałowi Litewskiemu, granice Europy opierały się o Dniepr. Rosjanin przekraczający tę granicę w 1696 r. wpadał w absolutne osłupienie, co łatwo sprawdzić, biorąc do ręki chociażby dziennik podróży Piotra Tołstoja (wjazd i opis Mohylewa). Dwieście lat panowania carskiej, a następnie sowieckiej Rosji niszczyło i wypaczało pamięć europejskiego dziedzictwa. Obecnie kurtyna pomiędzy Europą a „duginowską” Eurazją przebiega nie tyle



wzdłuż granic poszczególnych państw, lecz wzdłuż linii znaczonej symbolami odmiennych wartości. Husserlowska eschatologia europejskiego ducha nie toleruje symboli totalitaryzmu i zatrzymuje się tam, gdzie po dziś dzień stoją pomniki Lenina, i gdzie, nie pamiętając gułagów i holokaustu głodu, nadal wieńczy się domy czerwoną gwiazdą i znakiem sierpa i młota. Walka z tymi symbolami jest tak samo istotna, jak walka z symbolami faszyzmu: jedno i drugie służyły i służą tym, którzy niszczyli i nadal chcą niszczyć świat ludzkich praw, tolerancji, samorządu i demokracji. Granica znaczone pomnikami Lenina wprowadza istotny podział wśród Białorusinów, a także Ukraińców i Rosjan. Jej długie trwanie nie ułatwia wysiłków tym, którzy chociażby z pragmatycznych powodów chcieliby skorzystać z dobrodziejstw Unii Europejskiej.

Ostatnio przygasła euforia Majdanu i ucichł hymn chwalby Wiktora Juszczenki. Dramatyczne, szaleńczo odważne zwycięstwo ukraińskiej opozycji załamało się nie tylko wobec siły oligarchii, małopostkowych kłótni liderów i wpływów potężnych specusłużb, lecz także wobec zamętu świata wartości i oddalenia jednostki od wpływu na władzę, chociażby tę najbliższą w dzielnicy, miasteczku czy gminie. Ukraińcy, świadomie próbujący odbudować tradycje nieistniejącego obecnie społeczeństwa obywatelskiego, słusznie sięgają do dziejów kozactwa i parlamentaryzmu czasów austriackich. Podobnie Białorusini mogą sięgać do obywatelskich tradycji Połocka, Witebska, Kryczewa czy Słucka. Bliższe zapoznanie się z tą tradycją pomoże wszystkim samorządowcom, starającym się budować demokracje od podstaw. Co więcej, skupienie uwagi na świecie duchowych wartości i świadomych wyborów moralnych, podnoszone kilkakrotnie w trakcie konferencji, wydaje się być dobrym drogowskazem na drodze do Europy. Bez istotnych zmian w narodowej białoruskiej świadomości wszelkie polityczne zmiany na szczeblu centralnym mogą przynieść rezultaty ważne tylko dla zwycięskiej elity i potężnych grup interesu.

Zawsze niebezpieczna jest wolność przynoszona z zewnątrz. Tak zwane wyzwolenie Europy Środkowowschodniej przez Armię Czerwoną przyniosło nową okupację i utratę suwerenności pod rządami komunistycznych miejscowych kolaborantów (a tych, niestety, nigdy w żadnym systemie nie brakuje). Niebezpieczne są także przynieszone z zewnątrz prawa i konstytucje mające tworzyć społeczeństwa obywatelskie i budować demokracje. Cała XX-wieczna historia krajów postkolonialnych i współczesne doświadczenia irackie zdają się o tym świadczyć niezwykle dobitnie. Niemniej w kulturze

i tradycji wielu krajów są zawarte okresy lub chociażby krótkie momenty demokratycznej tradycji, myśli i doświadczenia dającego podstawy do samodzielnych, dostosowanych do warunków i zwyczajów, prób odbudowania samorządu i tworzenia na jego podstawie poczucia obywatelskości i prawdziwej, kontrolującej zarówno rząd, jak i parlament, demokracji.

Białorusini w odróżnieniu od wielu innych narodów świata mają bardzo bogatą samorządową i obywatelską tradycję. Mają powody do dumy, gdy spojrzą na swych odległych przodków. Mało obecnie o nich wiedzą, ale to już inna i nie tak trudna do poprawienia sprawa. Nie można jednak dłużej biernie tolerować narzucanej pedagogicznej ignorancji i upodlającego kłamstwa. Białorusini mogą z poczucia spokoju, umyślowego lenistwa, nawyku ostatnich dziesięcioleci i strachu nieznanego wybrać drogę do Eurazji. Wszyscy mieszkańcy Białorusi, którzy do dzisiaj czują smutek z powodu upadku Związku Sowieckiego, są już na tej drodze bardzo daleko. Ci zaś, których nie obraża tolerowana bezmyślnością samodura, zatrata narodowego języka, też się tam znajdują, nawet gdy marzą, by być rosyjskojęzycznymi Europejczykami. Pozostali mogą spróbować odzyskać duchową łączność ze swymi przodkami zdolnymi napisać Statuty Litewskie i zbrojnie stawić czoło ojcu Piotra I. Nikt za nich tego nie zrobi, a bez tego wysiłku wszelka nowoczesność i transformacja a'la Balcerowicz lub Majdan będzie osadzona na kruchych podstawach.

*Andrzej S. Kamiński*